

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

16

Powieść.

Ona krzyknęła:

— Wątpić?... Ależ to byłoby szaleństwem!... Czy ty mogłeś zamordować? Czy mogłeś nawet być współnikiem mordu? Nie myśl o tem... nie myśl! Powiedz raczej, kiedy ujrzałeś te papiery po raz pierwszy?

On wyprostował się, starał myśli zebrać, przypomnieć sobie i wzmocnić siłę głosu.

— Było to w kilka dni po zbrodni... O ile mi się zdaje nazajutrz po poranku, gdy pan Guillaume nam powiedział, że akcje, których numera wymienił, wzięte zostały z sekretarzyka twego męża...

— Tak! tak!... lecz co potem?

— Wszedłem do mego biura. Otworzyłem szufladę, w której zwykle chowałem czysty papier i pióra. Miałem pisać... nie wiem co i nie wiem do kogo... Głowa mi pęka... wszystko zapominam... Biedna moja głowa!

— Mniejsza o to, co i do kogo... Mów o fakcie samym... mów dalej!

— Wówczas na wierzchu... wcale nie ukryte i nie zawinięte... ujrzałem akcje... gruby plik... rozrzucony...

— W szufladzie twego biurka?... Szuflada prawdopodobnie nie była zamknięta na klucz?

— Nie!... Nie chowałem w niej nigdy nic kosztowniejszego... i na klucz nie zamykam nigdy...

— A te akcje?...

— Leżały na wierzchu. W pierwszej chwili nie zrozumiałem, skąd się wzięły i co oznaczają... Wyciągnąłem wszystkie i zacząłem się im przyglądać z ciekawością... Nagle ogarnął mnie lęk okropny! Przekonałem się, że posiadają olbrzymią wartość... Pojąłem, że to część... znacznie większa część skarbu, że to własność zamordowanego... że to są właśnie owe skradzione akcje, których poszukiwano... a one leżały tam... u mnie!...

— Ależ należało przywołać ludzi natychmiast... pokazać...

— Taką była moja pierwsza myśl... lecz po chwili ogarnęło mnie przerażenie...

— Z powodu czego?

— Z powodu pytań, które mi zadawać będą... i nieufności, z jaką się spotkam!... Powiedzieć, że te papiery przyniesiono bez mojej wiedzy? Dlaczego miano mi uwierzyć?... Zapytanoby, kto je złożył... Co mógłbym na to odpowiedzieć?... Więc potem chciałem dojść koniecznie, kto wchodził do mego biura...

— I cóż?

— Poinformować się w tym względzie nie było sposobu... Kto chciał, mógł wejść, nie spostrzeżony przez nikogo... Drzwi zawsze stały otworem...

Julia zastanawiała się czas jakiś.

— W kilka dni po zbrodni, powiadasz? W takim razie Sempuis chciał cię skompromitować wraz z sobą!

Marceli zaprzeczył zważem poruszeniem głowy.

— W jakim celu?... Z chwilą, gdy posiadał część akcji, nie byłby przecie pozbywał się największej ich ilości, te bowiem, które pozostawały u niego, tak samo zupełnie go kompromitowały. Nie! jak przedtem, tak i obecnie przekonany jestem, że nie on jest winowajcą... tylko jak ja ofiarą!... Akcje, znalezione w jego walizce, wsunięte były przez te same ręce, które złożyły w moim biurku plik papierów wartościowych, dosięgających sumy miliona franków!...

— W takim razie, kto?

Marceli, zachmurzony, odparł ze złością:

— Któżby, jeśli nie doktor Jintot?... Czy nie mówiłem tego zawsze?... Czy to nie oczywiste?... Podziwiać należy zaślepienie sędziów, którzy nie chcą go obwinąć!... Człowiek ten już przed kilku laty musiał uplanować zdobycie znacznego kapitału. To przecież widoczne!... Wiedział, że Laborda posiada ogromny majątek... więc go ściągnął do zakładu. Prawdopodobnie miał nadzieję, że chory złoży u niego depozyt, który Amerykanin wolał powierzyć panu Manescault... Wówczas zawiedziony, postanowił popełnić zbrodnię, bo tym tylko sposobem mógł przywłaszczyć sobie złożone u twego męża akcje...

Julia nie słuchała go już od chwili.

— Lecz ty! — zawołała. — Co uczynisz? Wyjechać nie możesz!

— Przeciwnie!... Ucieknę. To dla mnie jedyny środek ocalenia.

Ona krzyknęła gwałtownie:

— Nie możesz!... Zamiar twój jest już znany... Nie pozwolą ci go wykonać!

Marceli, przerażony strasznie, drgnął całym ciałem.

— Co mówisz? — wyjąkał. — Skąd wiesz o tem?

— Pisałeś do mnie list, który odczytano... Powiadam ci, wiedzą wszystko! Wiedzą, że tej nocy jeszcze chcesz dom opuścić, a jutro wieczorem wsiąść na statek, odpływający do środkowej Ameryki...

On jęknął z boleścią:

— W takim razie jestem zgubiony!

Julia spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Dlaczego rozpaczasz?... Jesteś niewinny... powiesz to tak, jak mnie powiedziałeś, prosto, szczerze... zmusisz sędziów do uwierzenia ci... Sam fakt, że skradzione papiery nieznana ręka złożyła w twoim biurku, nie może cię obwinić...

On załamał ręce.

— To jest fakt, obwiniający mnie w najwyższym stopniu!... Wiesz o tem dobrze!... Wszakże sama z podobnego powodu oskarżałaś Mikołaja Sempuis i potępiałaś go bezwzględnie!

Ona zaprzeczyła:

— Wypadek nie jest ten sam... Zachodzi znaczna różnica!

— Nie widzę jej...

— Ja zaś widzę... w charakterze osób!... Sempuis był człowiekiem wzbudzającym niepokój, o przeszłości wątpliwej i dwuznacznej, o zachowaniu się skrytem i tajemniczym. Przedewszystkiem zaś, już raz zabił!... Opowiadała mi to jego żona szczegółowo... Zbrodnię wywołała namiętność, chwilowe uniesienie... zgoda!... była to jednak zbrodnia!... Sempuis, człowiek gwałtowny i chciwy, mógł zostać mordercą... ty nie!... Nie było przyczyny, któraby cię skłoniła uleść ohydnej pokusie... W całym twoim istnieniu nie znajdziesz się nic, co mogłoby nasunąć myśl popełnienia zbrodniczego czynu...

— Tak mówisz, bo mnie kochasz!... Lecz nie w ten sposób rozumować będą ludzie obcy, sędziowie... Zresztą, nie wiesz wszystkiego!

Ona uczuła się znowu przejęta strasznym lękiem.

— Co?... Czyżbyś ukrył co przedemną?

— Och! nic odnoszącego się do morderstwa i kradzieży!... Lecz mówiłaś o złych anteryorach Mikołaja... Pomyśl, że i w mojej przeszłości grzebać będą... że zechcą również zbadać moje życie, moje czyny...

W oczach Julii odbił się wyraz wzrastającego niepokoju.

— Cóż znaleźć w niem mogą! Nie popełniłeś nigdy nic złego... Nie masz sobie, jak myślę, nic do wyrzucenia?

Odwrócił oczy i mówił dalej tonem żalonym:

— Nie zawsze postępowałem, jak postępować należy...

Serce Julii ścisnęło się boleśnie. Doznawała męczącego zawrotu głowy wobec widocznego wzruszenia i pomieszania brata. Co przed nią odkryje? Jakąż ciemną przepaść otwiera się na nowo pod ich stopami?

— Mów! mów! — zawołała tonem rozkazującym. — Wolę wszystko, niż pozostawać w takiej niepewności!

On wyrażał się z wysileniem, szukając wyrazów:

— Jestem młody... wiesz o tem... bardzo rozsądny nie jestem i nigdy nim nie byłem... A stało się tak... że poznałem pewną kobietę w Paryżu... która potrzebowała pieniędzy...

Julia zadrżała, boleśnie dotknięta.

— O, mój Boże!... Marceli! co mówisz?

On ciągnął dalej coraz śpieszniej, żeby jak najprędzej skończyć z przykrem wyznaniem:

— A wiesz, że pieniędzy nie miałem... Pensya, którą tu pobierałem, była po prostu śmiesznie mała. Niekiedy zaś obracałem dość znacznymi kwotami... Nieszczęście sprawiło... że raz wzięłem...

Siostra ukryła twarz w dłoniach.

— Ty!... Ty! Marceli!

Sam na siebie rozjątrzony, mówił coraz głośniejszym głosem:

— Och! wzięłem nie dużo... pięćset franków, nie więcej!... W gruncie rzeczy mógł mi je dać twój mąż... Przecież dosyć zarabiał!

Julia uniosła się oburzona.

— Milcz!... Milcz, Marceli!... Nie poznaję cię!... Jak możesz mówić w ten sposób?

On, zmartwiony okrutnie, pochylił się teraz nagle pełen wstydu.

— Tak, masz słuszość!... Och! wiem, że upadłem niegodnie... Widzisz, że gorzko tego żałuję... zwłaszcza obecnie... Bo jeśli zechcą zbadać moje życie i moje czyny... to z lekkomyślnie popełnionego

błędu, mogą wyciągnąć dla mnie najfatalniejsze wnioski...

Przerwała mu, krzyknawszy niemal z gniewem:

— Milcz! Pleciesz nikczemne niedorzeczności!...

Odpowiedz mi raczej, czy pan Manescault spostrzegł, co uczyniłeś?

Marceli opuścił głowę na piersi.

— Tak!

— I wyrzucał ci to?

— Och! bardzo surowo!

Ona odparła tonem, pełnym goryczy:

— Miał słuszość! Mam nadzieję, że nie więcej jak raz dopuściłeś się tego wstrętnego czynu?

Marceli odpowiedział z wahaniem się widocznym:

— Tak!

Julia odskoczyła od brata.

— Och! kłamiesz!... Widzę to po wyrazie twojej twarzy, po całej twojej postawie pochylonej i drżącej... Ach! jaka hańba!... Więc powierzone ci z ufnością pieniądze brałeś i wydawałeś na rozpustę!... Okradałeś mego męża!

On odparł słabym głosem:

— Ależ Julko! zbłądziłem dla tego jedynie, bo sądziłem, że jako twój mąż...

Ona przerwała mu z najwyższym rozdrażnieniem:

— Wszakże dlatego właśnie, że to był mój mąż, czyn twój zasługuje na jeszcze sroższe potępienie!... Człowiek, który przez wzgląd na mnie, nie mógł ani cię ukarać, ani z domu wypędzić!... O! mój Boże! a ja, która ci tak wierzyłam!... Ja, która cię tak kochałam!...

Młody człowiek wzruszony do głębi, przejęty cały żalem i rozpaczą, opasał kibić jej ramieniem.

— Julko! ty mnie kochasz jeszcze?

Odtrąciła go od siebie.

— Ach! nie wiem... nie wiem! Zawiodłam się na tobie!

— Wszakże nie opuścisz mnie?

— Nie... bezwątpienia. Lecz nie wiem doprawdy w jaki sposób mam cię bronić?

On jęknął żałośnie.

— Julko! powiedziałem ci wszystko!... Chyba wierzysz, że nic a nic nie ukryłem przed tobą?

— Nie wiem... nie wiem... Jesteś dla mnie jak obcy... jakby nieznany...

Marceli złożył ręce błagalnie.

— Mój Boże! nie wyobrażaj sobie przedewszystkiem, abym w sprawie morderstwa mógł być winowajcą...

Zachwiała się na nogach i oparła o jeden z mebli.

— Nie!... och! w to wierzyć nie mogę... Lecz bronić cię nie mam już sił...

Upadł na kolana, chwytając się jej sukni.

— Juleczko! — zawołał bolesnym głosem — przysięgam, że powiedziałem ci prawdę!... Nie wiem o zbrodni!... Och! winowajcą nie jestem, przysięgam ci na wszystko, co mam najświętszego!...

Pani Manescault, chmurna i surowa, usunęła się na bok.

— Wierzę ci. Lecz teraz trzeba nieodwołalnie... czy rozumiesz?... trzeba koniecznie znaleźć mordercę!

On, łkając, upadł na kanapę.

— Działaj ty!... Ocal mnie!

Spojrzała na niego błędnym wzrokiem. Czuli się nawskróś przejęta srogim cierpieniem moralnym, myśląc iak bardzo ludziła się niezłomną prawością brata, którego, jako starsza siostra, kochała niemal macierzyńską miłością.

— Tak!... do mnie należy ocalić cię... bo ty jesteś biedną, słabą, bezsilną istotą... Już raz poświęciłam się dla ciebie, sprzedając się człowiekowi, którego nie kochałam... Obecnie zaś muszę cię uratować od niebezpieczeństwa, w które popadłeś...

— Julio!

— Pozostań tu!... Nie ruszaj się stąd!... Zakazuję ci wychodzić z tego pokoju!... Niech nikt cię nie widzi i nikt o tobie nie słyszy. A nie próbuj uciekać, bo wpadłbyś natychmiast w ręce policyi, czyhającej na ciebie!

I nie słuchając dłużej narzekań i jęków brata, zgnębionego jej pogardą i surowością, wyszła śpiesznie z pokoju.

W pośrodku korytarza spotkała się twarzą w twarz z panną Heleną.

— Niech pani pójdzie za mną — rzekła agentka poważnie. — Ci panowie pragną pomówić z panią.

W piersiach Julii kołatało serce z niesłychaną mocą.

— Mój Boże! — myślała. — Czy ta kobieta i sądownicy słyszeli wyznanie Marcelego?...

Szła za Heleną machinalnie, przejęta głębokim smutkiem. Biednej kobiecie zdawało się, że wokoło niej wszystko się wali i rozpada w gruzy.